

ZIARNO



VAN DER FAYES (1618—1680).

PORTRET ELEONORY VAN BERESTEYN.

SZKOŁA POLSKA.

Przed tygodniem rada państwa uchwaliła powtórnie, tym razem nawet bez rozpraw, projekt prawa o szkołach prywatnych. Ustawa jest więc przyjętą przez obie izby prawodawcze i oczekuje już tylko potwierdzenia Monarchy, aby stała się prawem obowiązującym.

Jeżeli zważy się dokładnie treść ustawodawstwa szkolnego, trudno zaprzeczyć, że ustawa o szkołach prywatnych polepszy bez wątpienia stan prawny szkolnictwa polskiego. Odtąd będzie istniało nie na zasadzie przepisów tymczasowych, jak dzisiaj, lecz oparte na stałej ustawie.

To jest pierwsza korzyść, z pozoru formalna, w istocie jednak mająca poważną doniosłość faktyczną.

Następnie same przepisy zawierają niewątpliwie znaczny krok naprzód w porównaniu z stosunkami dzisiejszymi.

Tak więc dotychczas udzielanie prawa nauczania po polsku zależało od ministra oświaty lub podwładnych mu organów. Nowa ustawa pozostawia wybór języka wykładowego założycielom szkoły, pod warunkiem jednak, że język, historia i geografia Rosji będą wykładane w języku urzędowym.

Wybór przedmiotów i programów będzie zależał od założycieli szkół, pod warunkiem, że do programu powinna być włączona religja i że język rosyjski ma mieć dostateczną liczbę godzin. Istnieje także zastrzeżenie, aby w szkołach średnich były wykładane: historia i geografia, względnie nawet literatura rosyjska. Jak wiadomo, przepisy tymczasowe, obecnie obowiązujące, nakazywały przystosowanie się każdej szkoły do programu odpowiednich szkół rządowych.

Sprawa mianowania nauczycieli w szkołach prywatnych uzyskała także szersze rozwiązanie. Założyciele szkół bowiem będą mogli przyjmować ich sami, według swego uznania, zawiadamiając tylko o tem odpowiednie władze szkolne. Rzecz oczywista, że nauczyciele powinni posiadać przepisany stopień naukowy, czyli uniwersytecki.

Z innych przepisów należy jeszcze podkreślić: prawo do powierzania wykładowców w zakresie przedmiotów rosyjskich Polakom; zachowanie trybu mel-dunkowego otwierania szkół; zniesienie przepisów o odpowiedzialności nauczycieli, zajmujących się nau-

czaniem po domach prywatnych bez świadectwa, i rodziców, przyjmujących ich do domu swego.

Przypomnijmy jeszcze, że nowa ustawa obejmuje *wszystkie*, wyższe, średnie i niższe, zakłady naukowe, pozostające w zawiadowaniu ministerjum oświaty. Nie ogarnia zaś ona zakładów, podlegających ministerjum handlu i rolnictwa.

Jeżeli mówimy, że nowe przepisy stanowią pewien krok naprzód, jeszcze dalecy jesteśmy od tego, aby uważać sprawę bytu i rozwoju szkolnictwa polskiego za pomyślnie rozwiązana.

Po dawnemu będzie się ono opierało na ofiarności prywatnej, z słabą tylko możliwością organizowania stałych i regularnych jego podstaw. Izby prawodawcze wprawdzie rozszerzyły projekt w tym względzie, że udzieliły prawa otwierania prywatnych zakładów naukowych także samorządowi; uczyniły wszakże zastrzeżenie, że wówczas wszystkie przedmioty, z wyjątkiem religji, języka ojczystego i języków nowożytnych, winny być wykładane po rosyjsku. Wobec tego społeczeństwo nasze będzie musiało zwrócić specjalną uwagę na prywatne stowarzyszenia i prywatne spółki, którym prawo, już bez zastrzeżeń, pozwala na zakładanie, względnie uposażenie szkół prywatnych. Będzie to jedyna, prócz jakiejś wyjątkowej ofiarności osobistej, forma zorganizowanej pomocy dla szkolnictwa polskiego.

Ważny punkt uzyskiwania praw rządowych, w praktyce, jak wiadomo, rozstrzygnięty pomyślnie w guberni nadbaltyckich, teraz został uzależniony całkowicie od ministra. Mianowicie ustanowienie egzaminów na prawa rządowe w samych szkołach prywatnych, pod kontrolą delegata okręgu naukowego, będzie wymagało każdorazowego pozwolenia ministra.

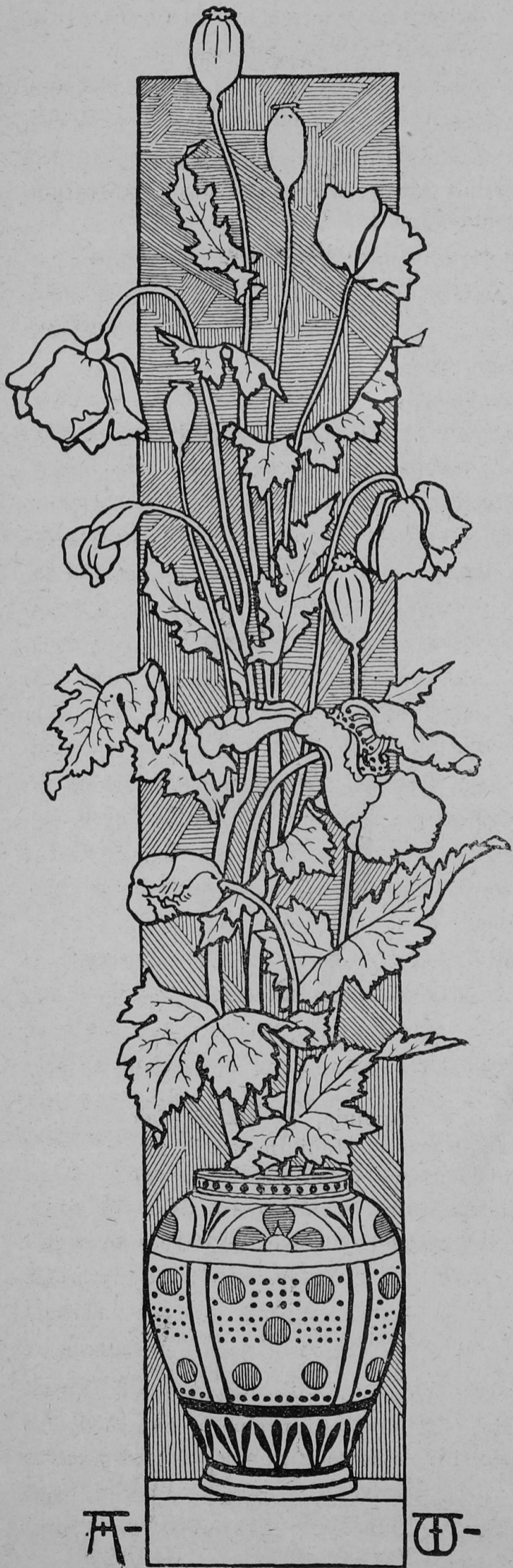
W każdym razie szkolnictwo polskie w nowej ustawie uzyska podstawę prawną istnienia, która pozwoli mu utrwalić się, spokojnie patrzeć w przyszłość i rozwijać się na pożytek młodych pokoleń i narodu. Wychodzimy z stanu tymczasowości i wkraczamy w *normy*. Teraz wszystko będzie zależało od samego społeczeństwa i od ciała pedagogicznego. Jeżeli jest prawdą, że zasady samopomocy są u nas już głęboko rozwinięte, to uzyskujemy sposobność okazania tego w najważniejszej gałęzi życia zbiorowego: na organizacji wykształcenia.

N. N.

CZTERY PORY.

II.

POŁUDNIE.



Srebrnokłose łany,
żyta płowe trzciny,
maków krasów tkany
pszenicy smug złoty —
na polach skwarnych w takt
[szumią,

gorczyce, przeloty,
róż polnych oddechy,
krzewiste łubiny
i świeżych sian strzechy
swą wonią słońca żar tłumią.

I pnące powoje
na dębów konary
wieszają swe stroje,
kasztanów wachlarze
skroń chłódzą zwiędłej lebiody;
przez drzew wirydarze
na zielną oponę
pszczół płyną rozgwary;
a łupem złożone
do ulów spieszą zagrody.

Dzwonią kosi w polu,
śpiew wtórzy żniwiarzy,
przepiórka w kąkolu
skryta czujnie gwarzy,
na błoni stado darń szczypie;
pastuszek przygrywa,
opodal dziewczyna
na rowie szczaw zrywa,
przy stawie wiklina
na wodę jasny pył sypie.

I słońca roztoki
skwar leją w przestworza,
spékane gór stoki
i ciemna ruń morza
żar chłoną w głąb pełną strugą,
i w sadach grodzonych
owoce się płoną
wśród obsłon zielonych
przed światel pogonią —
i bawią jasną znów smugą.

* * *

Gospodarz przed chatą
z licem ogorzałem
na niwę bogatą
okiem patrzy śmiałem,
bo zna swych trudów zasługę;
i uprząż naprawia
nim w pole wyruszy:
tak sternik nastawia
swe płótna i suszy
na dalszą w morzach żegluge.

A żona z pospiechem
posiłek podaje,
zaprasza uśmiechem
i chwilę przystaje,
do piersi męża się tuli,
aż nagle się schyli

i synka podnosi,
u stóp co jej kwili
i pieszczot się prosi
szczebiotem słodkim zuzuli.

I woła znów praca
po chwili wytchnienia,
a ciężki znój skraca
nadzieja złożenia
do gumiem plonów bogatych;
choć pot perli czoło,
myśl jasna go ściera
i pokłos wesoło
dłoń w snopy ubiera
na pościel stogów czubatych.

* * *

W ton gromki uderzył
wieszcz pieśnią gorącą
i w słońce nią zmierzył,
jak ono palącą,
i śle ją w bezmiar głęboki;
drży dźwięków pożarem
i luną akordów —
ziem ciepłych obszarem,
fałą chłodnych fjordów
ujęty wszechbył szeroki.

Słoneczna potęga zawładnęła
[światem;
jak lew złotogrzywy, pan lasów
[i stepów,
Majestat głosi wokoło,
i hojnie swem runem potrząsa
[bogatem,
skarb niedba czy rzuci w głąb
[skrytych wertepów
i dumnie nosi swe czoło.

A lud na ołtarze zbóż dźwiga
[daniny:
na matki-ziemi święcenie,
i głos idzie wielki przez żyzne
[równiny
na ojca — słońca uczczenie:

Ludzkiego plemienia
przyjmijcie ofiary:
chleb bieli się słodki
win złocą się czary!
My dzieci — mocarze
z krwi waszej poczęci
i siłą przyrody
w bój życia zakłęci —
czerpiemy z tych pełnych
kruż światła i mocy —
ze ziemi i słońca —
od świtu do nocy.
Więc wina wam niesiem
i chleb słodki biały,
wam, ludów rodzicom,
na ołtarz wasz chwały!

NAŁĘCZÓW.

(d. c.)

Spółka lekarzy, objąwszy w r. 1878 w posiadanie pałace i park z rozrzuconemi po nim budowłami, oraz z tem, co po dawnym zakładzie pozostało, dokonała w ciągu dwu lat niespełna najważniejszych robót, które pozwoliły jej już w r. 1880 otworzyć zakład. Dr. Nowicki, główny organizator tego zakładu, rozwinął niesłychaną energję: odbudował łazienki, hydropatję i domy mieszkalne, na pałacu wznosił drugie piętro i wieżę ciśnień, wystawił kilka pomniejszych nowych budynków gospodarskich, oczyścił staw, przeprowadził wodociągi. W roku następ-

stwy, połamane i popekane, stanowią naturalne sączki dla wody atmosferycznej, i pomagają szybkiemu obsychaniu gruntu po każdym spadłym deszczu. W wgłębieniach płaskowzgórza ułożyły się gwiazdami grube warstwy piasku, czasami żwiru lub drobnych głazów narzutowych. Sąsiednie doliny pokrywa ziemia łąkowa, wśród której znajdują się kotlinki, wypełnione torfem. Obfitość roślinności i drzew, przyczynia się do powietrza niezwykle czystego i zdrowego.

Środki lecznicze zakładu stanowią źródła wody żelaznej — jedno dawne, drugie odkryte w r. 1879, sprowadzone do obmurowanego rezerwoaru, skąd wodę po wannach rozprowadza maszyna parowa; na zewnątrz zaś odchodzi woda odpowiednio urządzonego wytryskiem, skąd łatwo czerpać się daje.



Zakład i hydropatja w Nałęczowie.

nym stanęły: wielki budynek dwupiętrowy i wila zakładowa, wzniesione na nowo.

Nałęczów wznosi się nad poziom morza przeszło dwa razy wyżej niż Warszawa; wysokość ta sprawia, że ciśnienie barometryczne jest mniejsze, więc klimat, acz jeszcze nie górski, ma pewną przewagę nad klimatem, panującym na znacznym bardzo obszarze kraju tutejszego i dzielnic ościennych.

Blizkie sąsiedztwo lasów, okalających Nałęczów, a od strony zachodniej ciągnących się szeroko wzdłuż Wisły, łagodzi ostateczności temperatury i przyczynia się do osłabienia panujących gdzieindziej nagłych przejść z gorąca do zimna.

Grunt, na którym leży zakład, i wsie otaczające tenże, w wierzchniej warstwie gliniasty, ma podłoże z kamienia wapiennego, którego grube war-

stwy, połamane i popekane, stanowią naturalne sączki dla wody atmosferycznej, i pomagają szybkiemu obsychaniu gruntu po każdym spadłym deszczu. W wgłębieniach płaskowzgórza ułożyły się gwiazdami grube warstwy piasku, czasami żwiru lub drobnych głazów narzutowych. Sąsiednie doliny pokrywa ziemia łąkowa, wśród której znajdują się kotlinki, wypełnione torfem. Obfitość roślinności i drzew, przyczynia się do powietrza niezwykle czystego i zdrowego.

Woda czysta zupełnie, z lekkim odcieniem fioletowym, po dłuższem staniu mętnieje nieco i pozostawia osad rdzawy, jasno czerwony; smak ma ściągający, atramentowy, pomimo to daje się pić bez wstrętu. Osoby anemiczne, używające jej zamiast wody zwyczajnej, doznają korzystnego wpływu na stan zdrowia.

Prócz źródeł żelazistych, używa się z powodzeniem kąpiele błotnych. Borowina pochodzi z łąk sąsiednich i odpowiednio jest przygotowywana. Nadto, w razie potrzeby, stosowane tu bywają kąpiele igliwiowe i szlamowe z pomocą środków zamiejscowych.

Do kuracji hydropatycznej czerpie wodę pompa, poruszana kołem wodnym (niegdyś młyn wodny) i rurami rozprowadza ją po wszystkich większych

budynkach zakładu. Obfite źródło, dostarczające przeszło 100,000 wiader wody na dobę, o temperaturze 8,5° C., jest obmurowane i pokryte, a tem samem zabezpieczone od wszelkiego zanieczyszczenia. Woda zbyteczna z rezerwoaru odpływa do rowu, a dalej do rzeczki.

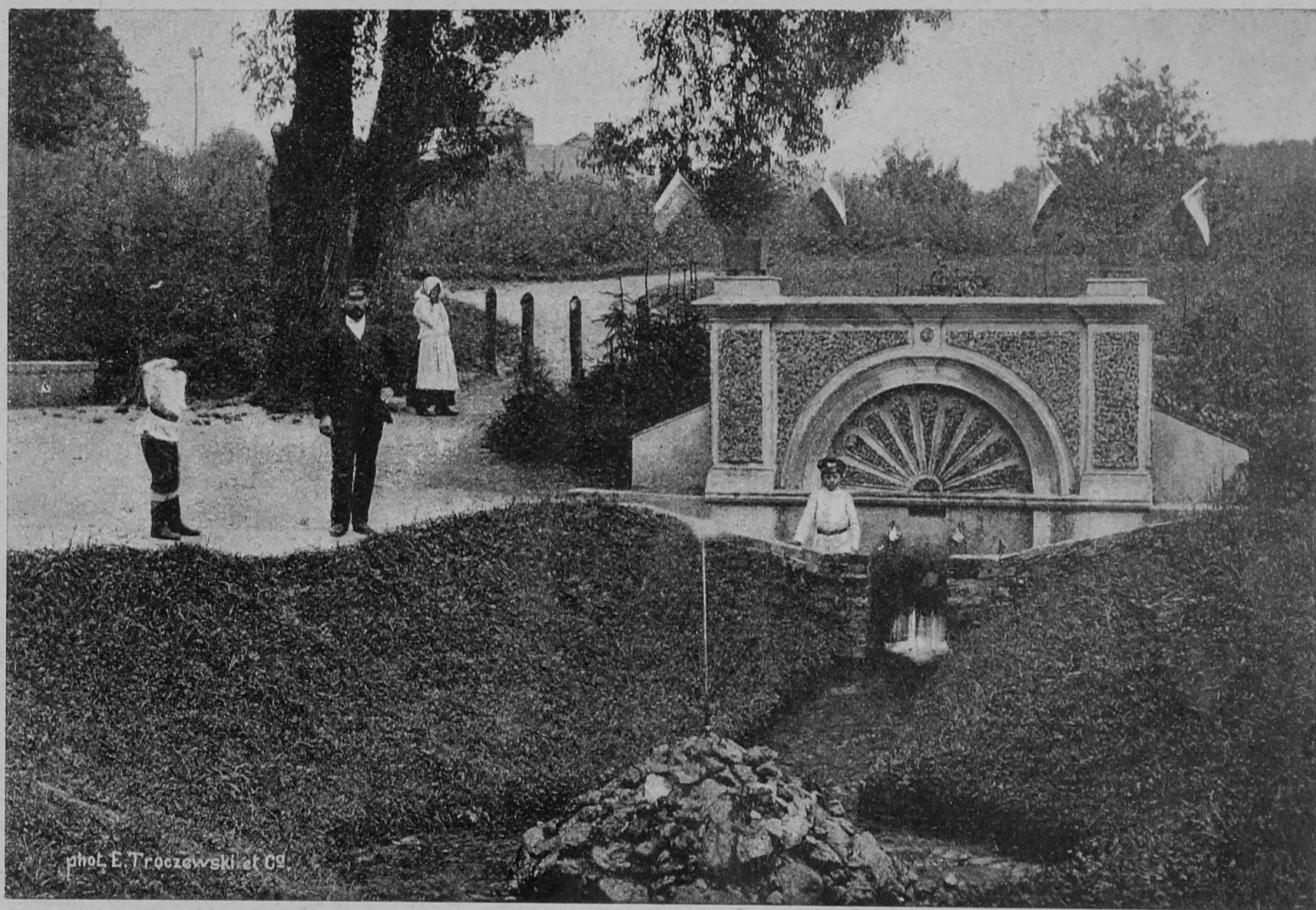
Miejszem zebrań publiczności i zabaw, jest pałac, wystawiony przez Małachowskich, w roku 1879 powiększony o piętro (drugie), oraz wieżę, obok wzniesioną. Przed głównym wejściem, od zachodu, dobudowano werandę, a od strony wschodniej i zachodniej urządzono odkryte tarasy. Po przerobieniu pałac stracił typ pierwotny, zyskując wszakże na obszerności i okazałości.

W ciągu kilku dziesiątek lat, jakie upłyne-

rza, pokryte młodym lasem iglastym, poprzerzynane malowniczymi wąwozami; stanowią one ulubione miejsca przechadzek publiczności nałęczowskiej.

Uzupełniając opis Nałęczowa, jako miejsca kuracyjnego, dodać należy, że kuracja tutejsza szczególnie pomyslnie wydaje rezultaty w chorobach przewlekłych, wymagających leczenia środkami fizycznymi: balneoterapią i hydroterapią — jak choroby nerwowe, choroby ustrojowe, choroby przewlekle przewodu pokarmowego, choroby dróg oddechowych, kamienia i choroby kobiece. Co rok zwiększa się też ilość przyjezdnych — co jest najlepszym dowodem uznania, jakie zakład zjednywa sobie zarówno w sferach lekarskich, jak i wśród publiczności.

Należy wszakże dodać, że oprócz chorych,



Źródło w Nałęczowie.

ły od wskrzeszenia zakładu leczniczego, powstało dokoła niego kilkadziesiąt domów. Najokazalsze stoją na „Górze armatniej“, osłaniającej zakład od północy i same tą górą osłonięte; posiadają one rozległe widoki na park i dolinę rzeki, u stóp góry tej leżące.

Inny szereg domów stoi przy „Aleji lipowej“, pomiędzy parkiem zakładu, a kościółkiem bohotnickim; naprzeciw tych, po drugiej stronie doliny, rozrzucone są po pod wzgórzem mniejsze domki, w dzielnicy zwanej „Nowym Światem“. Po drugiej stronie parku, po za łaźniakami, stała czwarta dzielnica, u stóp wzgórza, w kierunku drogi ku Wiśle, i stąd „Krakowskim Przedmieściem“ zwana. Tu także mieści się apteka.

Po nad tą ostatnią dzielnicą ciągną się wzgó-

przybywa do Nałęczowa corocznie pewna liczba osób dla wytchnienia i wypoczynku po pracy i nabrania sił do dalszej.

W Nałęczowie przepędził ostatnie dni życia swego niezapomniany Andriolli, wielki miłośnik Nałęczowa i jego okolic, które gorliwie prznosił na papier i z którymi za pośrednictwem pism ilustrowanych szerszą zaznajamiał publiczność. Tu też został pochowany, a nad grobem jego wznosi się jego pomnik z napisem.

(d. n.).



Zamek krakowski.

Romans historyczny z wieku XVI.

(c. d.)

— Pan mnie jak możesz pocieszasz. Ale pozwóć popłakać na swoją biedę. Bo gdyby to człowiek choć trochę pokrzyżował broń, ale od pierwszego pchnięcia zlecieć z konia, i to w przytomności tych zaporożców, co się tu przed kilkoma dniami tak popisywali z tatarami, to dla mnie taki despekt, że już mi się ani pokazać w Zaporozżu. Odkąd żyję, nawet nim dosłużyłem się hartownej za granicą zbroi, nie podobnego mi się nie zdarzyło. Czy kopja pańska zaczarowana?

— Wiesz dobrze, że w naszym stanie podobnym baśniom nie wierzą. Ani też myśl, bym sobie przypisywał tak łatwe zwycięstwo. Uskarżasz się, że cię męstwo zawiodło, a ja zazdrościłem twojej niemocy, widząc, czyjem staraniem wracałeś do zdrowia. Teraz muszę cię opuścić w tej gospodzie, ale za dni kilka powrócę, by cię z sobą zabrać tam, gdzie przeznaczenie prowadzić będzie moje kroki. Co się tyczy kopji, która się stała dla mnie narzędziem tak świetnego zwycięstwa, pozwól mi ją ofiarować tobie na pamiątkę, ile że twoją pokruszyłeś na mojej zbroi. Nie może się ona dostać w dzielniejsze ręce.

— Wiesz, Ezechielku, że jeżeli cokolwiek masz oleju w mózgowicy — rzekł pan Kazimierz, mieszając się do rozmowy — powinieneś być dumnym z tego wszystkiego, coś tu przez parę dni doświadczył. Ty, jak widzę, nie umiesz się poznać na swoim szczęściu.

— I owszem, poznaję się na niem; z tem wszystkiem byłbym się bez niego obszedł. Wszakże dziękuję panu za łaskawy dar. Będzie zawsze mi przypominał, że muszę niesławę swoją zetrzeć. Nie z mniejszą wdzięcznością przyjmuję ofiarę służby przy boku pańskim. Ale dopraszam się wyrozumienia pańskiego na to, że stan, w jakim jeszcze się zostaję, nie pozwala mi nic stanowczego o sobie postanowić.

— Widzę, że niesłuszny twój żal do mnie nie może cię odstąpić. Mam jednak nadzieję, że dasz się nakoniec zmiekczyć i że po dawnemu będziesz moim przyjacielem. Zostawiam cię z panem Kazimierzem; może on szczęśliwszym będzie i zdoła cię przekonać, że w niczem nie straciłem prawa ani do twego szacunku, ani do twojej życzliwości.

Jak zostali sami, pan Kazimierz pierwszy prze-rwał milczenie:

— Jaki z ciebie gbur, Ezechielu; aż mi wstyd, że z tobą razem do szkół chodziłem.

— A cóż złego zrobiłem?

— Jakto? Pan Samuel okazuje ci najczulszą

życzliwość, pociesza cię, ofiaruje posadę zaszczytną przy boku swoim, a ty jakbyś z tatarzem a nie z panem miał do czynienia.

— I tobie czasem nie wiedzieć co do głowy przychodzi. Gadasz z uniesieniem o naszej równości szlacheckiej, a potem byle się panu co ubrda, to nie pojmujesz, żeby kto nie był na jego zawołanie.

— Nikt twojej woli przemocą nie łamie. Przykro mi tylko, że nie umiałem zasłużyć na twoją ufność. Wszakże nie tracę nadziei. Jutro odprowadzamy księżne aż do Dniestru, a z rozkazu hetmana zostawiamy ci jego bandurzystę, żeby cię dumkami rozerwał, a Swirydowi pomagał. Bo pan Samuel lęka się, żebyś w łóżku się nie zatęsknił. Za dni kilka, da Bóg, tu się zobaczymy.

— Swirydzie — odezwał się pan Ezechiel, jak tylko pan Kazimierz zostawił go samego — przynieś mi kopję, co mi ją z łaski swojej odstąpił pan Samuel.

Swiryd podał mu broń.

— Ciężka — rzekł pan Ezechiel — ale zgrabna.

To rzekłszy, wstał z łóżka, i zaczął się składać kopję.

— Jeszcze kości trochę bołą, jednak znacznie czuję się zdrowszym. Swirydzie, trzeba nam się wkrótce do pochodu gotować. Jutro wszyscy stąd wyruszą ku Dniestrowi, ale pan Samuel z panem Kazimierzem za dni kilka mają tędy wracać. Otóż, ale żebyś z tem nie wymówił się przed nikim, tak nam trzeba zrobić, aby tu nas nie zastali.

— A gdzie to mamy się przenieść?

— Do Krakowa, gdzie według podobieństwa próżnować nie będziemy. Jak tylko państwo wyjadą, ja przez dwa dni będę się wkładał do dźwigania mojej rycerskiej odzieży. Oj! coś nie domagam. Ale bo też po tyrańsku zsadził mnie z kulbaki. Nie pojmuję, co się ze mną onegdaj stało. A wiesz, Swirydzie, że mnie nie taki ból w kościach, jaki wstyd w sercu.

— Panie, tu wstydu niema. Gdyby człowiekowi zawsze się udawało, toby był charakternikiem, a nie rycerzem.

— Otóż panu Samuelowi zawsze się udaje, a jednak jego posadzić nie mogę, żeby z czartem miał przyjaźń. Bo Kazimierz za nic w świecie z takimby nie przestawał. Powiedz, Swirydzie, jak tobie się zdaje?

— Czy wiesz pan, skąd taka konfuzja go spotkała? Oto stąd, że pan szukałeś zaczepki z ludźmi, co powracali od świętej Ławry Peczerskiej. Nie śmiałem się odezwać, a pan, żeś słuchał złej namowy, to też Bóg go skarał.

— Trafieś w sedno, Swirydzie, teraz jestem w domu. Kiedy rozumnie mówisz, nie powiem, żeś dureń. Jak stąd wyruszymy, a nadybiemy gdzie monaster waszych czerńców, to jako innej wiary do cerkwi nie wnijdę, ale przez pokorę będę trzymał twojego konia, a ciebie wyprawie do ihumena z ca-

łym szufrynem, żebyś kazał braciom modlić się za mnie.

— Zobaczysz pan, jak wszystko panu potem dobrze pójdzie.

— O wierzę, kto z Bogiem, Bóg z nim. A może spotkam pana Samuela nie od świętych miejsc powracającego, że bez grzechu na niego odezwę się z tą trąbką. Oj! żeby go mógł nawzajem z kulbaki zsadzić! I to nie dla żadnego zysku; broń Boże! Tak jak on ze mną, tak z nim postąpię. Ani jego konia, ani jego zbroi nie ruszę. A jak się skwitujemy, dopiero będzie przyjaźń między nami; tam pojedę, gdzie mi iść każe, choćby na dno Dniepru, ale wprzód muszę oddać za swoje.

— A na co, panie, ta zawziętość naprzeciwno jaśnie wielmożnemu hetmanowi?

— Tu niema nienawiści, jest owszem dowód najosobliwszego szacunku dla jego osoby. Ale to tylko pasowani rycerze rozumieją! Co ci mówić o żelaznym wilku!

Posłuchaj lepiej: Państwo odjadą, jeszcze mi zostawia bandurzystę, żeby mnie bawił do ich powrotu. A dobrze, niech sobie brzdąka przez parę dni; trzeciego wyruszym w pole. Już czuję się na siłach, że choć w pełnej zbroi utrzymam się na Siwoszu. A nie zapomnij białą chustką owinać żeleźca od kopji, bo pokąd będzie ślad bólu, potąd nie życzę sobie z nikim się potykać.

— Dlaczegożby pan nie miał jeszcze wypocząć cokolwiek dłużej?

— Nie, synu, to być nie może. Niech mnie Pan Bóg broni od tego, by mnie tu znalazł pan Samuel: mam miękie serce dla pana Kazimierza, gotów mi jeszcze wmówić, żeby z nimi poszedł na Zaporozie: a tego nie chcę, bo to się nie zgadza z moją ambicją. Zaprowadź mnie do Siwosza; stęskniłem się za nim, a nie znam drogi.

XI.

Ledwo słońce ostatki cieniów rozproszyło, gdy księżne z swoim orszakiem posuwały się ku ostatnim południowym granicom ówczesnej Polski. Kobiety siedziały w pojazdach otoczonych uzbrojonym poczem, pośród którego wznosiły się pióra szyszaku Samuela Zborowskiego. Podróż odbywała się spokojnie. Księżna Rascji wyglądała z niecierpliwością brzegów Dniestru, pan Samuel radby jego prąd oddalić choćby aż na krańce świata, żeby jaknajdłużej patrzeć na tą, która posiadała jego serce; a Gryzeldą? Kto przeniknąć zdoła wszystkie tajniki duszy młodej, skromnej, ale wyniosłej dziewczycy?

Najwdzięczniejsze krajobrazy przesuwały się przed ich oczami. Księżna była niemi zachwycona, a księżniczka zdawała się podzielać jej uniesienia. Zatrzymywały ich uwagę: Morafa, której owoce przypominały im szczęśliwe kraje, zasłonięte Tatrami od mroźnych powiewów północy: Bar, osada

świeżo założona, gdzie zamek obronny na wzór włoskich, przez królową Bonę wzniesiony, panował nad całą okolicą; Lewkówka, gdzie stawy żywią muszle, dające perły często tak ogniste jak te, których łakomy angielszyk szuka aż na brzegach Golkondy; Sitowiec, na którego łąkach jutrzeńka sypie manę z nieba wyniesioną. A ta czarowna strefa ożywiona trzodami, pasąciami się po jarach, zachowujących w późnej jesieni majową barwę, i dźwiękiem melodyjnym piszczałek wtórujących dumkom rzewliwym, płodom rodzimym Ukrainy, najpoetyczniejszej z tych ziem, gdzie rozsiadły się niezliczone plemiona słowiańskie.

W miejscach, gdzie tabor wypoczywał, rycerz czarny przybliżał się do księżnych, często z zamiarem, żeby im coś ciekawego opowiadać o tej ziemi, o bitwach, w których ją czerwienił krwią najezdników. Ale najczęściej gdy podjechał, wzrok utkwiał w oblicze Gryzeldy i wtedy zatapiał się w milczących dumaniach i już o wszystkim zapominał.

Już nadchodził ostatni dzień, w którym rycerz miał zostawać w towarzystwie księżnych. O cztery mile od Dniestru zatrzymali się wszyscy na nocleg w gospodzie, gdzie jeszcze jeden wieczór z sobą przepędzić mieli.

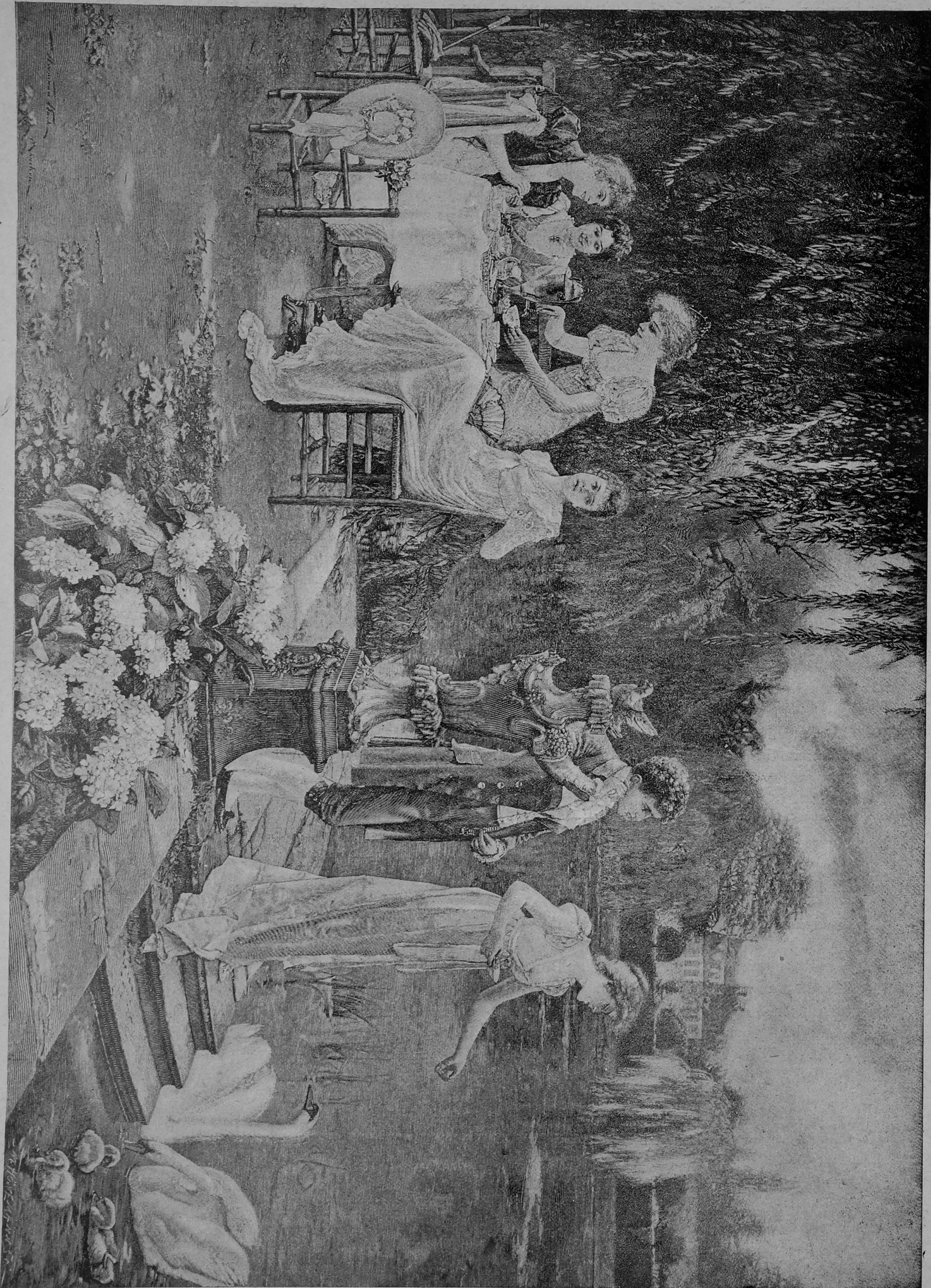
Spotkały ich tu smutne wieści. Gospodarz użalał się, że o milę w lewo nogajscy tatarowie założyli obóz; że od kilku dni z niego wypadają na okolicę, nakładając opłaty na mieszkańców, a nawet zabierają im kobiety i dzieci w jasyr, które za okup oddają; że wkrótce mają podnieść swój obóz, bo pan Humiecki, generał ziem podolskich, z żołnierzem kwarcianym i milicją księcia Zbaraskiego ciągnie w województwo braclawskie na odsiecz.

Jeszcze ani Sawicz, dowodzący orszakiem księżnej, ani pan Kazimierz nie byli opuścili izby, by przygotować wszystko do obrony, kiedy stanął na progu stary zakonnik. Za rękę prowadził młodą jeszcze niewiastę, łzami zalaną. Obie księżne przybliżyły się do zakonnika, żeby go przywitać i prosić o błogosławieństwo.

— W imię Zbawiciela naszego — rzekł zakonnik — proszę was, miłościwe panie, o jałmużnę dla uwolnienia braci i sióstr naszych z kajdan pogańskich. Oto uboga szlachcianka, której małżonek porwany jest przez pogańców. Co tylkośmy mieli szacownego i w klasztorze i w kościele naszym, obróciliśmy już na wykupienie więźniów i mnóstwo ich wyprowadziłem z obozu. Lecz wszystkie nasze środki już są wyczerpane, i nie ma gdzie się po jałmużnę udawać, bo obywatelstwo całej okolicy rozsypało się ku Kamieńcowi dla szukania ochrony. Cała nadzieja w miłościwych paniach, bo jak jutro obóz wyruszy, to nasi przepadli.

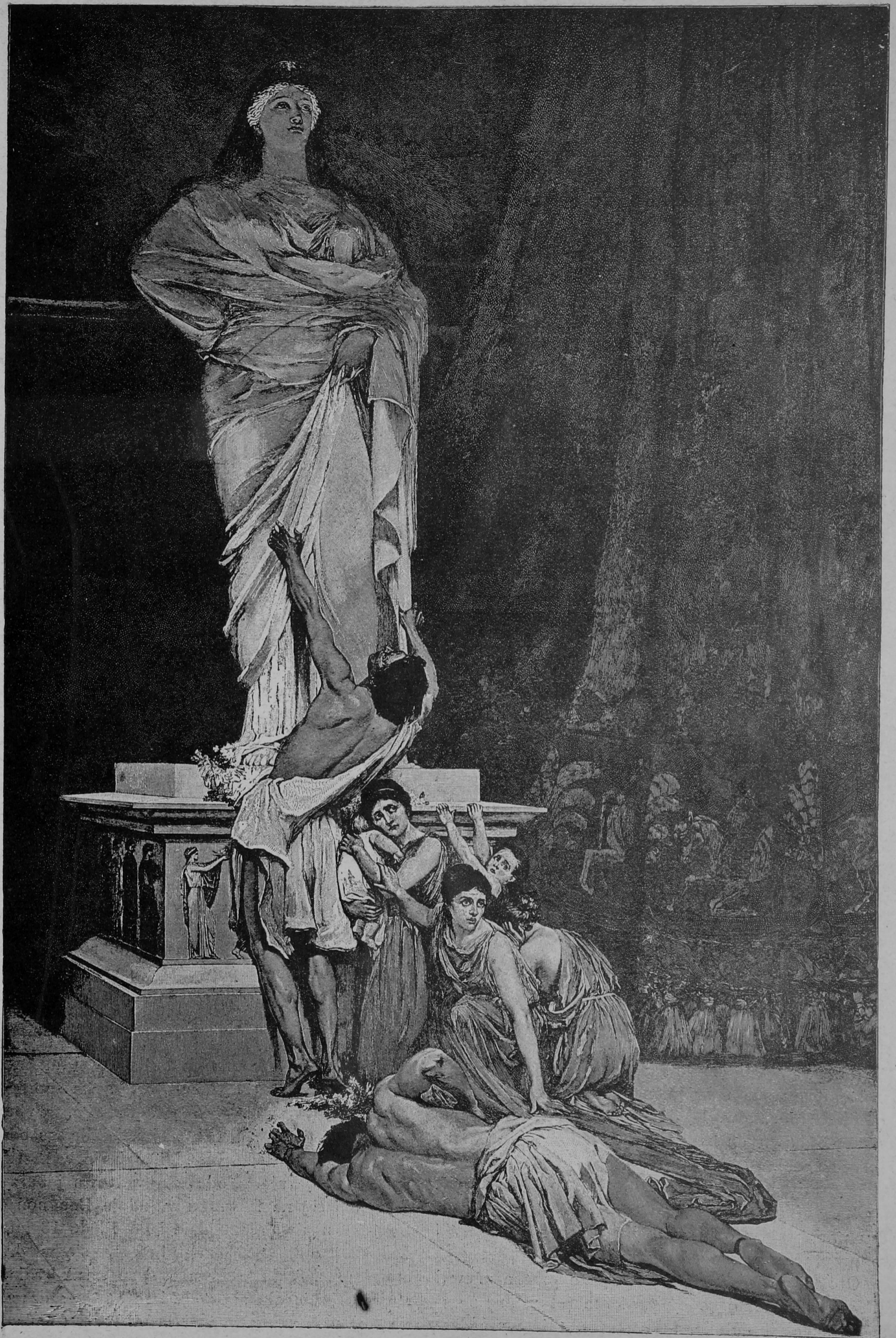
— Dobrze — odezwały się z pospiechem księżne — wszystko co mamy, oddamy.

I na ich rozkaz zaczęły służebne znosić klejnoty w ręce starego mnicha.



H. KOCH.

NAD JEZIOREM.



PRZEZNACZENIE.

— Ojcie — rzekł pan Kazimierz — czy nie masz drugiego habitu z sobą?

— Mam — odpowiedział mnich — ale dlaczego mnie o to pytasz?

— Widzisz, ojcie, chociaż dary wysokich księżnych są znaczne, jednak wszystkich jeńców za nie nie kupisz; a choćby jeden tylko pozostał, i tego szkoda. Przebrany za mnicha, towarzyszyć będę waszej wielbności do tatarskiego obozu, a jako człowiek nie bez doświadczenia, zaraz poznam, czy nie będzie można do niego się z swoimi wdrapać. Bo i my tu jesteśmy w sile. Jeżeli zobaczą, że z nimi walka jest niebezpieczna, to powrócimy z tymi, co ich wykupisz. A nuż pokaże się, że można odebrać im jeńców i okup? Wasze wielbność będzie mógł na drugi raz użyć kościelnych pieniędzy.

— Dobrze mówi pan towarzysz — odezwał się Sawicz — wszelką sprawiedliwość ma za sobą i jego żądaniu, ojcie, nie możesz odmówić.

— Niech się stanie wola Boża — odpowiedział trynitarz. — Tylko niech pan będzie ostrożny i nie odzywa się. Bo broń Boże poznają, że rycerz się ukrywa pod habitem, to nas obydwuch każą wbić na pal.

— Nie obawiaj się, ojcie trynitarzu: pod habitem bez pancerza i bez broni rycerz nigdy wielomówstwem nie zgrzeszy.

Gospodarz kazał zaprzadzić swoich parę koni do wózka. Pan Kazimierz, przestrojony w zakonnika, wziął lejce w rękę, ojciec trynitarz siadł jako starszy w tyle, a panie i pan Samuel, który dotąd ust nie otwierał, przygnębiony blizkiem rozstaniem, zostali w izbie.

(d. c. n.).



Zjawiska piorunowe.

Czerwiec i lipiec to miesiące burz gromowych. Z rozmaitych stron kraju nadchodzą znowu wieści o ofiarach piorunów. I jak rok rocznie, tak i obecnie donoszą o dziwnych kapryсах wyładowanej z chmur elektryczności.

Pioruny bowiem mają istotnie swoje „kaprysy”.

Zajmujący ich szereg spisał Leon Brenner, który pracował w obserwatorium Manora; z książki jego przytaczamy niektóre wypadki.

Otóż dosyć często zdarza się, że piorun zrywał z ubrania porażonej osoby części metalowe, np.: guziki, odrzucał je daleko, albo stapał, nie wyrządzając trafionej osobie żadnej szkody. Pewnemu wie-

śniakowi, pijącemu wodę z studni metalowym kubkiem, piorun wytrącił kubek z ręki, a pewnej kobiecie wyrwał z rąk druty razem z pończochą. Innym osobom piorun wydierał z kieszeni zegarki lub klucze, rozdzierając kieszenie, ale nie uszkadzając ciała.

Zdarzyły się wypadki, że piorun zrywał z ludzi ubrania, nawet obuwie. Ludzie przy tej sposobności częściej ginęli, ale czasami wychodzili cało.

Wyglądałoby to na zmyślenie, gdyby nie było stwierdzone z wszelką stanowczością.

I tak dnia 25 sierpnia 1897 roku został zabity przez piorun major Jameson koło Hulford House pod Guilfordem. Piorun rozdarł mu czapkę, spalił mu włosy, uszkodził prawą rękę, a wreszcie rozebrał go zupełnie, od krawatu, aż do skarpetek i kamaszów. Podeszwy były oderwane od kamaszów, skarpetki potargane, ale ubranie zostało zdjęte jakby przez służącego.

Inny wypadek zdarzył się w Francji, koło Courcelles-les-Sens. Na polu stały dwie dziewczyny: 19-letnia Filomena Escalbert i 22-letnia Adela Delauffre, obok 44-letniej mężatki Leony Légère. Nagle uderzył w nie piorun. Pani Légère została zabita, obie zaś dziewczyny padły ogłuszone. Gdy odzyskały przytomność, spostrzegły, że są zupełnie nagie. Nawet trzewiki leżały daleko odrzucone.

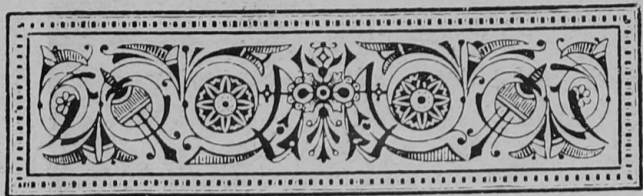
Dnia 11 sierpnia 1855 roku w departamencie Haute-Saône piorun zdarł suknie z jakiegoś przechodnia, który padł bez przytomności, ale wkrótce przyszedł do siebie.

W roku 1900 radca miasta Wormacji, Mundorf, na podmiejskiej posiadłości swojej szedł za pługiem, którym kierował. Zerwała się burza i wtedy Mundorf powierzył pług parobkowi. W chwili tej, gdy pług przechodził z ręki do ręki, padł piorun. Iskra elektryczna wypaliła otwór w słomkowym kapeluszu Mundorfa, przeleciała na szyję, którą oparzyła, rozdzierając kołnierzyk, poczem przeskoczyła na pług i przeszła w ziemię. Mundorf przy pomocy parobka zdołał pieszo dojść do domu i po kilku dniach miał się zupełnie dobrze, stracił tylko pamięć. Parobek opowiadał, że w chwili uderzenia piorunu uczuł jakby bardzo silny policzek.

Zwykły piorun tak szybko działa, że rażony nim nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, co się dzieje. Natomiast piorun kulisty jest przerażający. Zjawia się w kształcie kuli, wielkości sporego jabłka i odbywa dziwną wędrówkę, wybuchając wreszcie z siłą, wobec której najsilniejsze bomby są niewinną zabawką. Wander opisuje w następujący sposób taką kulę. Podczas gwałtownej burzy znajdowałem się na folwarku w gminie Beugnon (Deux-Sevres) z dwojgiem dzieci od 12 do 13 lat życia. Dzieci przed deszczem schowały się w drzwiach stajni, w której znajdowało się 25 sztuk bydła. Przed stajnią rozciągało się podwórze aż do sadzawki, odległej o 20 metrów, nad którą rosła topola.

Nagle na szczycie topoli zjawia się kula ogni-

sta, wielkości jabłka, która spływała po gałęziach, a wreszcie wzdłuż pnia dostała się na ziemię. Toczyła się potem powoli przez podwórze, jakgdyby szukała drogi pomiędzy kałużami. W ten sposób zbliżyła się do wrót stajni, gdzie stały dzieci. Jedno z nich dotknęło kuli stopą. Natychmiast nastąpił straszny wybuch. Dzieci padły na ziemię. Sądziłem, że są zabite, tymczasem nic się im nie stało, natomiast w stajni zginęło 11 sztuk bydła.



Kronika polityczna.

Po dwumiesięcznych rokowaniach w Niagara-Falls, które miały pokojowo załatwić zatarg Stanów Zjednoczonych z Meksykiem, a ściślej biorąc prezydenta Wilsona z prezydentem Huertą, osiągnięto wreszcie cel zamierzony. Rokowania rwały się co chwila; przed dwoma tygodniami rozeszła się wiadomość, że spełzły na niczem i że jednak miecz musi rozstrzygnąć zatarg. To też fakt, że w ostatniej chwili osiągnięto porozumienie i przyjęto przez obie strony formułę pokojową, był niespodzianką dla Europy.

Niemniejszą niespodzianką jest, że zawarty w Niagara-Falls rozejm oznacza rzeczywiście jeśli już nie porażkę, to w każdym razie znaczne cofnięcie się Stanów Zjednoczonych, a przede wszystkim prezydenta Wilsona z zajmowanego dotychczas stanowiska. W Waszyngtonie nie chciano nazwać Huerty legalnym prezydentem Meksyku, mimo że uznały go wszystkie inne państwa Europy i Ameryki, a gdy popierana przeciwko niemu rewolucja nie zdołała go obalić, skorzystano z błahego zajścia w Tampico, rzekomego znieważenia flagi Stanów Zjednoczonych przez żołnierzy Huerty, aby jego rządom położyć koniec drogą zbrojnego wtargnięcia do kraju. Że był to tylko podstęp celem zawładnięcia republiką meksykańską i bezwzględnego poddania jej pod wpływ Waszyngtonu, to od początku nie ulegało wątpliwości.

Tymczasem zawarty w Niagara-Falls rozejm jest rzeczywistym uznaniem prawomocności rządów Huerty także z strony Stanów Zjednoczonych. Przewiduje wprawdzie ustąpienie Huerty z stanowiska prezydenta, lecz za to przyznaje mu niemały wpływ na utworzenie tymczasowego rządu w Meksyku. Stany Zjednoczone zrzekają się przytem wszelkiego zadośćuczynienia za rzekomą zniewagę w Tampico, a więc żądania, do którego poprzednio tak wielką przywiązywały wagę. Wyrzekają się dalej odszko-

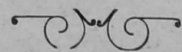
dowania pieniężnego z strony Meksyku i zobowiązują się do wycofania swoich wojsk z Veracruz i swej floty z Tampico z chwilą, w której w Meksyku obejmie władzę nowy rząd. Usunięcie Huerty okupuje więc prezydent Wilson szeregiem rozmaitych ustępstw.

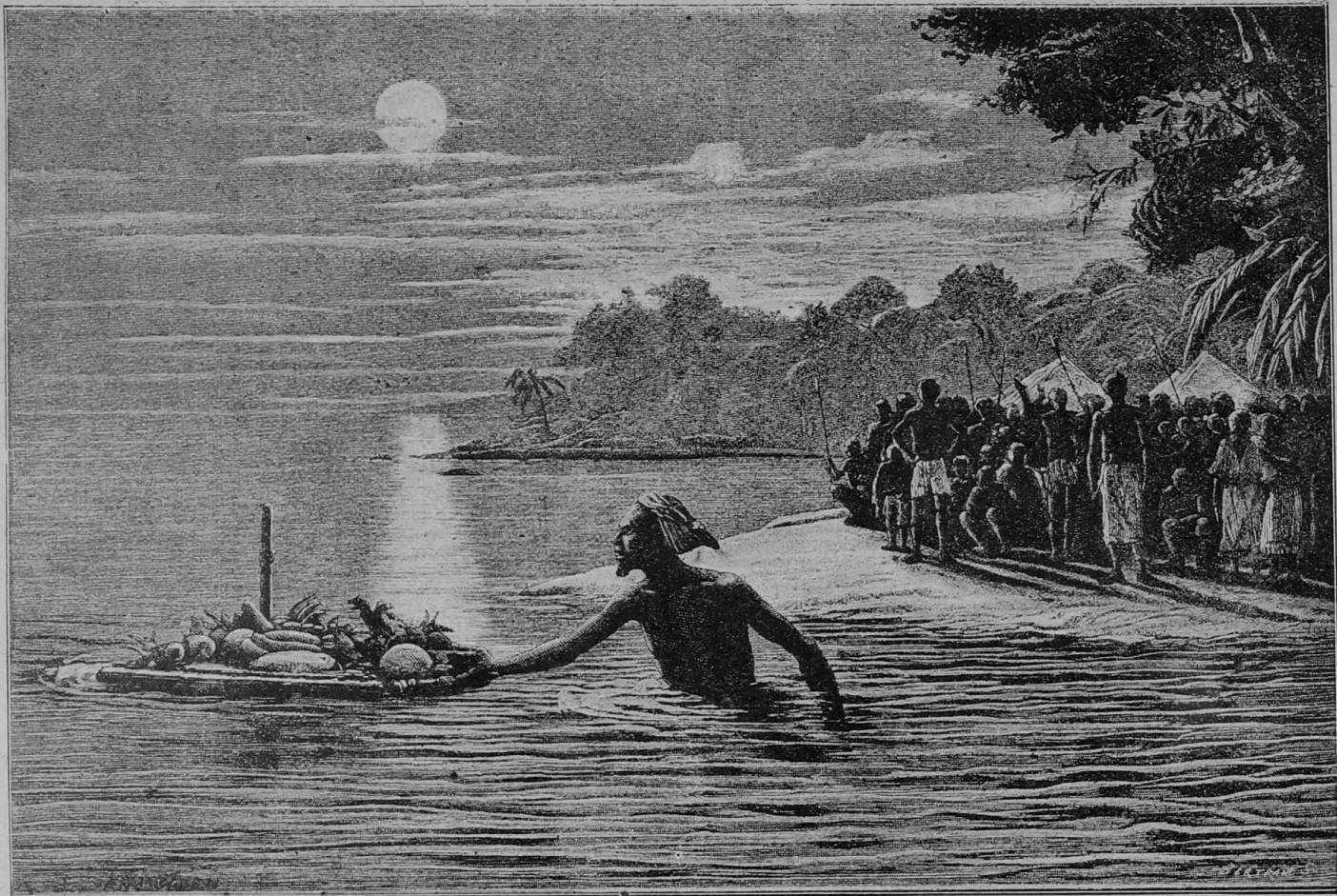
Lecz i pod innym jeszcze względem wynik konferencji w Niagara-Falls ma cechę porażki Stanów Zjednoczonych. Interwencję trzech południowo amerykańskich republik: Argentyny, Brazylii i Chile, spowodował wprawdzie, o czym dowiedziano się dopiero później, sam rząd waszyngtoński. Był to atoli z strony Wilsona krok nieco obłudny. Uczyniono go, gdy z jednej strony nabrano przekonania, że zanadto się pospieszono z wyprawą zbrojną do Meksyku, a z drugiej, gdy stało się jasnym, że zrażono sobie tą wyprawą opinię świata cywilizowanego. Przyjęcie uproszonego pośrednictwa trzech republik miało wykazać, że Stany Zjednoczone ożywione są pragnieniem pokoju i mają na celu tylko dobro Meksyku. W rzeczywistości nie wątpiono, że jak dawniej, tak i teraz trzy republiki łańskie okażą się tylko powolnymi narzędziami Unji, że spełnią jej żądania i powagą swoją zmuszą znienawidzonego Huertę do zdania się na łaskę rządu waszyngtońskiego.

W tym właśnie kierunku spotkał Unję zawód. Rządy Argentyny, Brazylii i Chile pojęły rolę swoją inaczej, a nadto skorzystały z kłopotliwego położenia Stanów, ażeby im uprzytomnić, iż czasy bezwzględnej ich wagi przeminęły. Delegaci ich z nieprzewidywaną stanowczością zwalczali za daleko idące żądania Unji, natomiast brali w obronę Huertę jako przedstawiciela legalnego rządu Meksyku i obrońcę niezawisłości tego państwa. Huerta sam ułatwił im trudne zadanie, oświadczając gotowość ustąpienia na rzecz nowego rządu, lecz nie na rzecz popieranej przez Waszyngton rewolucji.

Wojnę Stanów Zjednoczonych z Meksykiem uważać należy za zażegnana. Lecz czy równocześnie ustanie także wojna domowa w Meksyku, o tem jeszcze przesądzać nie można. Zależać to będzie przede wszystkim od tego, czy Carranza również pragnął tylko dobra ojczyzny, czy też jedynie osobistego wyniesienia na krzesło prezydenta. Zależać będzie dalej od tego, czy on, czy Villa jest faktycznym wodzem rewolucji, a wreszcie czy Villa i bandycka jego armja zgodzą się na zaniechanie wojny, która ich tak świetnie żywiła.

Stany Zjednoczone w każdym razie rewolucji tej nadal już nie mogą popierać. Prezydent Wilson musi opuścić swoich pupilów. Rola, jaką w tej sprawie odegrał, nie była zaszczytną, a w każdym razie naraziła na porażkę ideję zaborczą Stanów Zjednoczonych.





Noc letnia na wyspach indyjskich.

„Moja jest zemsta!” ...

(DOK.).

W tym czasie zaczęto ciężką pracę przy budowie kolei, potrzeba było ludzi silnych; nie było ich wielu między nami, jak zwykle bywa w więzieniach. Należałem do tych, których wybrano i pracowałem sumiennie. Była to poniekąd robota dodatkowa, więc co sobotę stawaliśmy szeregiem i wypłacano nam za nią. Ale jednego razu, gdy z kolei przystąpiłem do dozorca, aby odebrać swą należność, spojrzał na mnie podejrzliwie i rzekł:

— Jakto, przychodzisz po raz drugi?

Odpowiedziałem, że dotąd nic nie odebrałem, lecz on przejrawszy rejestry oświadczył, że już mi wypłacił, i rozkazał mi stanąć w szeregu tych, co już pieniądze odebrali, dodając jeszcze:

— Przyznaj się, abys tą drobną kradzieżą nie utracił przyrzeczonego uwolnienia za 3 lata.

Byłem oburzony, bo zapłaty nie odebrałem i nikt nie miał prawa nazywać mnie złodziejem, to też oświadczyłem stanowczo:

— Nie odejdę, dopóki nie odbiorę swej należności, a złodziejem nie jestem.

Wtedy dozorca dał znak—dwaj strażnicy z nabita bronią otoczyli mnie i przywołano dyrektora.

Gdy przyszedł, dozorca oświadczył, że byłem krnąbrny i nieposłuszny nie chcąc stanąć w szeregu, a dyrektor powtórzył tak samo:

— Przyznaj się.

Powiedziałem raz jeszcze, że nie wziąłem pie-

niędzy i że trwać przy tem będę, choćbym miał umrzeć. Zapytywał potem głównego dozorca, czy nie zachodzi pomyłka, lecz tenże przejrawszy raz jeszcze rachunki zapewniał, że widział mnie nawet na pewno, gdy odbierałem pieniądze, tylko następnie nie przyłączyłem się do szeregu już wypłaconych. Dyrektor nie badał moich towarzyszy, lecz kazał mnie odprowadzić dwom dozorcóm. Skoro zbliżyli się do mnie chcąc mnie pochwyć, odepchnąłem ich, niby dwoje dzieci, tak samo pozbyłem się innych, aż wreszcie uderzony maczugą w głowę padłem straciwszy przytomność i wtedy — głos skazańca zniżył się do szeptu—wtrącono mnie do lochu...

Oczy jego przygasły, pochylił głowę i wzrok rozpaczy zwrócił ku ziemi.

— Mów dalej — rzekł prezydent.

— Wtrącili mnie do lochu, czy widział pan kiedy loch, panie prezydencie?

— Być może, lecz opisz go bliżej.

— W lochu bywa kilka przedziałów; ten do którego mnie wtrącono, był pięć stóp szeroki i może ośm stóp długi. Podłoga była kamienna, a ściany i sufit z żelaza. Światło dochodziło jedynie przez szparę w drzwiach umieszczoną; był zupełnie pusty, lecz dano mi siennik i co dwadzieścia cztery godziny dzban wody i chleb suchy.

Po dwóch dniach przybył dyrektor z dozorcą, zapytując, jak się miewam? Dobrze, odparłem. „Czy chcesz się poprawić i przyjść jutro do roboty?” pytał dalej. „Nie”, odpowiedziałem, „nie wrócę do

pracy, zanim nie odbiorę mej należności". Wzruszył ramionami: „To dobrze“, rzekł, „może zmienisz zdanie, gdy pobędziesz tu tydzień cały“.

Po tygodniu przyszedł znowu, lecz, gdy trwał przy swoim, zelżył mnie okropnie. Rzekłem, że obowiązkiem każdego jest dochodzić praw swoich, że ten, kto pozwoli traktować się jak pies, nie jest człowiekiem.

— Czy jednakże nie zastanowiłeś się nad tem — przerwał prezydent — że urzędnicy nie byliby się poniżyli do tego, aby cię oszukać, że musiała w tym wypadku zajść pomyłka jaka i że w każdym razie trzeba ci było wybierać pomiędzy tą drobną zapłatą, a siedmiu laty więzienia?

— Tak, ale byłem oburzony, że posadzono mnie o złodziejstwo i wrzucono do lochu, niby dzikie zwierzę. Bronilem praw swoich, bronilem godności człowieka! To rzecz jedyna, którą bez skazy człowiek zabiera z sobą do grobu: więzień, czy wolny, słaby, czy potężny, bogaty, czy ubogi!

— Jakże wtedy postąpił sobie dyrektor?

Skazaniec, w którego duszy znać straszna toczyła się walka, powstał i wyprostował się, niby struna, a wyciągnawszy prawicę w stronę prezydenta, chcąc nadać więcej doniosłości swemu opowiadaniu, mówił dalej tym samym jednostajnym głosem:

— Dyrektor oznajmił mi, że podda mnie chłoscie i przekona się wtedy, czy się nie przyznam do winy. Tak, panie prezydencie, kazał mnie chłostać. Poprzedni kierownik nie zmienił charakteru mego batem, lecz dobrem słowem, które znaczy więcej, niż bat i loch ohydny. Nie dowierzałem jego słowom, uważając je za groźbę, gdyż byłbym go zabił na miejscu, choćbym to życiem przyplacił natychmiast... Nie, panie, nie wierzyłem!

Kazano mi wyjść z lochu i dozorca zaprowadził mnie na dziedziniec, gdzie o mur oparta stała tak zwana drabina drewniana, a obok niej leżał bat. Dyrektor rozkazał mi obnażyć się, lecz jeszcze są-

dziłem, że to dla postrachu tylko. Tymczasem przymocowano ręce i nogi moje powrozami do drabiny i dyrektor podjął bicz zapytując ponownie, czy powrócę do roboty?

— Nie — odparłem — nie powrócę, dopóty nie odbiorę tego, co mi się należy...

Umilkł na chwilę, jak gdyby zbierając siły do dalszego opowiadania, pozostał jednak w postawie stojącej, tylko oczy jego pały złowrogim płomieniem. Ołówek stenografa zatrzymał się także.

— I wtedy bicz tego okrutnika smagał aż do krwi moje plecy — mówił dalej więzień. — Cała moja istota wzdygała się i krew ścinała się w mych żyłach z wściekłości i bólu.

— Związałeś mnie i katujesz — wołałem. — A więc dobrze, bij i zabij mnie! Jesteś podłym podlejším, wstrętniejszym od psa wściekłego. Podły kłamie i kradnie, nie więcej jesteś wart od kłamcy i złodzieja! Biczuj mnie do ostatniego mego tchnienia, bo, jeżeli nie skończę pod twymi razami, zamorduje ciebie, nędzniku!

Wstrząsnął się, pytając, czy zastanawiam się nad tem, co mówię?

— O tak, na Boga! — wołałem — a on mnie bił coraz mocniej...

— Działo się to przed dwoma laty — przerwał prezydent. — Teraz już nie myślisz o tem?...

— Przeciwnie, zabiję go przy pierwszej sposobności.

— Mów dalej — rzekł prezydent.

— Biczował mnie jeszcze, że w końcu krew ściekająca z ran moich tworzyła już kałużę u stóp drabiny, potem straciłem przytomność...

— Ocknąłem się dopiero w lochu, plecy moje pokryte były plastrami i lekarz więzienny klęczał nademną... — kończył skazaniec, spoglądając dookoła, jakby już pragnął się oddalić.

— I odtąd pozostałeś ciągle w lochu? — pytał dalej prezydent.



— Tak jest panie, było mi już wszystko jedno.

— Jak długo?

— Rok i dziewięć miesięcy.

— O suchym chlebie i wodzie?

— Tak, panie, niczego więcej nie było mi potrzeba.

— Czy myślałeś o tem, że póki nie porzucisz zamiaru zabicia kierownika, nie wyjdiesz z lochu? Długo już nie wytrzymasz tego życia, a w przeciwnym razie wróciłbyś znów do celi więziennej.

— Ale kłamałbym, bo wróciwszy do celi, miałbym tem łatwiejszą sposobność zabicia go. Wolę umrzeć w lochu, niż być kłamcą i podlecem, a zabiłbym go na pewno, on wie dobrze o tem...

Tak w człowieku tym na wpół żywym dyszało pragnienie mordu i zabójstwa, a nie było ono udane, lecz pewne, nieuniknione, tak, jak śmierć...

— A jakiż jest stan twego zdrowia? — badał dalej prezydent.

— Dobry — odparł zmęczonym głosem więzień. — Ogarnia mnie czasem słabość wielka, ale panuje nad nią...

Lekarz więzienny zbliżył się teraz przykładając ucho do serca skazańca, następnie szepnął kilka słów prezydentowi.

— Przypuszczałem to zaraz — odparł tenże, a zwracając się do dozorca, dodał:

— Umieście więźnia niezwłocznie w szpitalu, w izbie słonecznej i dostarczcie mu posiłnego pożywienia.

Skazaniec przyjął wiadomość tą obojętnie i wyszedł z sali posiedzeń wolnym, znużonym krokiem wraz z dozorcą i lekarzem.

* * *

Dyrektor więzienia znajdował się w swej pracowni, a naprzeciw stał więzień pod liczbą 208.

Tenże zdziwiony był, że zostawiono go samego w obec człowieka, któremu poprzysiągł krwawą zemstę. Nie był okuty w kajdany, pokój był zamknięty na klucz i ten leżał na stole przed nimi. Trzy tygodnie pobytu w szpitalu wpłynęło korzystnie na skazanego, nie mniej twarz jego pokryta była trupią bladością.

— Przed trzema tygodniami otrzymałem dymisję — ozwał się dyrektor — czekałem już tylko na przyjazd mego następcy; który się stawił dzisiaj, opuszczam zatem więzienie. Przedtem jednakże chcę ci udzielić wiadomości bardzo ważnej. Otóż jeden z więźniów, uwolniony zeszłego roku, przeczytał w pismach przebieg rozpraw, które miały miejsce tutaj, przysłał mi w tych dniach wyznanie, że on to był właśnie tym, który jako numer 208 odebrał zapłatę zamiast ciebie, a ponieważ bardzo był podobny do ciebie, łatwo podszedł dozorcę, gdyż tenże najmniejszego nie miał zamiaru skrzywdzić ciebie.

Więzień przechylił się przez stół, słuchając chciwie.

— Zanim wieść ta mnie doszła, byłem przeciwny ułaskawieniu twemu, teraz jednak wniosłem sam o nie, jesteś więc wolny...

Zrazu błysk nienawiści zaświecił w oczach skazańca, lecz z wolna cichy smutek rozlał się na blade jego licach.

— Kolej odchodzi stąd za cztery godziny — mówił dalej dyrektor — wiem jednak, że groziłeś mi śmiercią...

Zatrzymał się i potem mówił głosem nieco wzruszonym.

— Zamiar twój nie powstrzymuje mnie jednakże, aby nie wypowiedzieć tego, co słuszne i co uważam za dług mój wobec ciebie. Obeszłem się z tobą z surowością bezwzględna, której potworność uznaję w tej chwili. Popełniłem błąd fatalny, nie zbadawszy twego charakteru i sądząc fałszywie twoje postępowanie, obciążyłem moje sumienie, którego wyrzuty ścigać mnie będą do końca życia, bo dziś naprawić złe już zapóźno!... Życie nasze złamane, tak samo moje, jak twoje, z tą różnicą, że cierpienie twoje już minęło, gdy moje skończy się chyba z śmiercią. Będzie więc ona dla mnie wybawieniem...

To mówiąc, dyrektor bardzo bladej, lecz spokojny, wyjął z szuflady nabity rewolwer i położył go przed więźniem:

— Otóż sposobność, której pragnałeś, nikt przeszkodzić ci nie może!

Ale on stał długo nieporuszony i w końcu usunął z przed siebie broń niby jadowitą żmiję.

— Nie, jeszcze nie!... — jęknął.

— Czy się lękasz? — szepnął dyrektor.

— Nie, o nie, ty wiesz, że się nie boję niczego, ale nie mogę... nie, nie mogę!...

Lice skazańca zbladły śmiertelnie, oczy stawały się szkliste, nie mniej powstał ślaniając się:

— Zwyciężyłeś mnie, panie! — mówił złamanym głosem — jedno dobre słowo działało więcej, niż loch i knuty... Za to słowo mógłbym się stać twoim niewolnikiem...

I lzy puściły się z jego oczu; zachwiał się...

Dyrektor pochwycił go swe ramiona i posadził na krzesło i ręce tych dwóch wrogów połączyły się w szczerym uścisku. Uśmiech zjawił się na ustach skazańca:

— Gdybyś to słowo powiedział był dawno... gdyby?... Ale teraz wszystko będzie dobrze, pójdę jutro do roboty... jutro... jutro...

Przechylił głowę zmęczoną na poręcz krzesła, oczy zamglone zwróciły się na sufit, ręce martwe opadły — skonał...



Z blizka i daleka.

Czyn godny naśladowania. Piękną uroczystość odbyła się w Życzynie, o parę wiorst od stacji kolejowej tej nazwy. Firma Bogusław Herse w Warszawie, urządziła tam, na 24 morgach, letnisko dla swoich pracowników. Przerobiono odpowiednio i dobudowano stary dwór, wznoszący się w osłonie lip wiekowych, urządzono w nim przestronne i jasne sypialnie, jadalnie, bawialnie, dostarczając 30 pracownikom powietrza, zdrowia, otuchy do życia i sił do dalszej pracy.

Śmierć ordynansa ks. Józefa. W miejscowości Korec pod Kijowem umarł w 124 roku życia Paweł Paszkowski, były ordynans księcia Józefa Poniatowskiego.

Ostatnie chwile pary arcyksiążęcej. Arcyksiążę trafiony kulą nie umarł zaraz i podczas szalonej jazdy automobilem do konaku, otworzył kilka razy oczy. Natomiast księżna Hohenberg skonała bezpośrednio po strzale.

Kiedy arcyksięcia i małżonkę jego złożono w konaku na sofie, lekarze w tej chwili przystąpili do niesienia ratunku. U księżnej stwierdzono zaraz śmierć. Twarz jej była uśmiechnięta i zdaje się, nie cierpiała przed śmiercią. Nie było też znać na zewnątrz plam krwi. Krwotok był wewnętrzny.

Twarz arcyksięcia miała również wyraz zmieniony. Kula, przebiwszy główną tętnicę szyjną, utkwiała w kręgosłupie. Lekarze starali się nieść pomoc mimo oznak zbliżającej się, czy też już zaszłej śmierci. Przecięto kołnierz surduta wojskowego, a wówczas ukazała się na zewnątrz krew. Śmierć musiała już kilka minut wcześniej nastąpić. Od wydobycia kuli z rany, co zrazu projektowano, odstąpiono.

Jenerał Potiorek, który znajdował się przy arcyksięciu, dostał kurczu nerwowego i omdlał. Lekarze z trudem przywrócili go do przytomności. Baron Rumerskirch i pułkownik Bardol byli tak przejęci, że dostali ataku płaczu. Kula, która ugodziła księżnę, przeszła przez boczną ścianę automobilu, przebiła gorset i utkwiała w okolicy lewego biodra, gdzie spowodowała krwotok. Księżna zmarła, nie wypowiedziawszy słowa.

Angielskie manewry wodne. Dla wypróbowania, jak wyglądać będzie flota wojenna w pełnym uzbrojeniu obsadzony będzie d. 17-go b. m. każdy okręt pojedynczy przez wszystkich marynarzy, jakich tylko uzyskać można. Król urządzi przegląd floty w Spithead. Trzy eskadry wojenne staną więc w pogotowiu do boju. Dla floty, zmobilizowanej w ten sposób, ściągniętych będzie 10,000 marynarzy czynnych i 4,000 rezerwistów. Liczba wszystkich okrętów zmobilizowanych wynosić będzie 493. Zmobilizowanych będzie 55 okrętów bojowych, 69 krążo-

wników, 187 kontrtorpedowców, 83 torpedowce, 59 łodzi podwodnych, 7 łodzi do zakładania min podwodnych, 18 okrętów do szukania min i 20 okrętów pomocniczych. Nadmienić wypada, że jest to tylko rodzima flota angielska.

Przygody bobra. Kijowski ogród zoologiczny wzbogacił się o jeden okaz bobra, wobec czego jest ich teraz parka.

Schwycił go w sieć na jeziorze w pobliżu miasteczka Chodorowa, w powiecie kaniowskim, rybak, dzierżawiący jezioro. Bóbr widocznie dostał się do jeziora z Dniepru podczas jego wylewu. Bóbr tak się zaplątał w sieci, że trzeba ją było rozcinać, aby go z niej wyjąć. Rybak takiego zwierza nie tylko nie widział nigdy, lecz nawet o nim nie słyszał; nie więc dziwnego, że nie umiał się z nim odpowiednio obejść: przywiązał mu sznur do ogona i tak go przyciągnął do domu, a następnie zawiózł do Kijowa w łodzi. Dziwna rzecz, że w takich warunkach, bóbr nie wyzionął jeszcze ducha. W Kijowie rybak chciał sprzedać bobra, lecz rewirowy pamiętając o zakazie sprzedawania bobrów, odstawił właściciela zzwierzątkiem do cyrku, gdzie rybakowi poradzono, aby rzadki okaz podarował do ogrodu zoologicznego, co też — rad nie rad — uczynił...

Zawiedziony pasażer. Na stacji kolejowej zjawia się młody, elegancko ubrany pan i z przerażeniem spostrzega, że w pociągu wszystkie miejsca są zajęte. Pociąg zatrzymuje się tu tylko dwie minuty. Szybko zdecydowany podchodzi młody człowiek do ostatniego wagonu i woła:

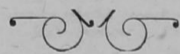
— Wysiadać. Ten wagon nie idzie dalej!

W wagonie powstaje łatwo zrozumiała panika. Ludzie zrywają się z swych miejsc, chwytają pakunki i przesiadają się; niema czasu na zasiągnięcie informacji. Młody człowiek zadowolony z swego pomysłu, wsiada do wagonu, sadowi się wygodnie w jednym przedziale, zapala fajeczkę i czeka. Teraz byle tylko pociąg jaknajrędzej ruszył. Wtem zjawia się urzędnik kolejowy i pyta:

— Czy to pan opowiadał ludziom tą zmyśloną bajkę, iż ten wagon nie idzie?

— Ja.

— A to pan wygrał. Wzięto pana za wyższego urzędnika kolejowego i wagon odczepiono.



Ambulans napowietrzny.



— Grosz po groszu zbiorę sumę potrzebną i urzędywistnię moją myśl ukochaną — tak powiedziała sobie dzielna obywatelka francuska, panna Marvingt, lotniczka wykwalifikowana, i energicznie dąży do upragnionego celu.

Jej „myślą ukochaną“ jest ofiarowanie armji pierwszego ambulansu napowietrznego. Zrealizowa-

nie projektu wymaga 36,000 fr.; p. Marvingt, nie chcąc nikomu nie zawdzięczać, ufając skuteczności własnych wysiłków, jeździ od miasta do miasta i wygłasza konferencję, z których dochód zamierza użyć na budowę aparatu. Zebrała już 21,000 franków i wkrótce osiągnie cel upragniony.

Akcja ratunkowa na polu walki jest połączona z trudnościami w odnajdowaniu ranionych, którzy potrzebują prędkiego ratunku. Więc ten dobry ptak będzie wywiadowcą lekarza naczelnego i w razie potrzeby umożliwi dokonanie operacji na miejscu znalezienia ranionego, dzięki bowiem swojej budowie przeniesie tam chirurga i jego pomocnika; będzie przytem zaopatrzony w posterunek telegrafu iskrowego. Słowem autorka projektu zużytkowała wszystkie środki, mogące współdziałać przy prędkim ratunku.

Podczas ostatnich manewrów senator Reymond dokonał prób przy zastosowaniu aparatu zwykłego. Wśród pól porozkładano manekiny, mające wyobrażać rannych, i ptak odnajdował je bez wysiłku.

Panna Marvingt nie myśli wyłącznie o wojnach europejskich, lecz o walkach, prowadzonych codziennie w kolonjach przez wojsko francuskie.

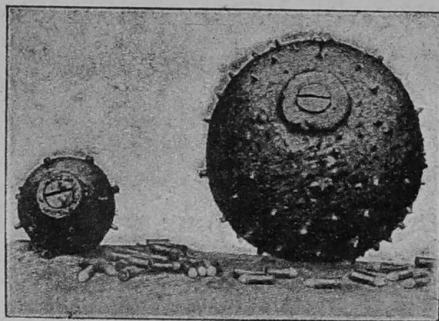
W krajach tych komunikacja jest bardzo trudna i np. w Kongu albo Tonkinie posterunki sanitarne są odległe niekiedy od pola walki o trzy tygodnie marszu. Wskutek tego wielu rannych umiera, nie otrzymawszy pomocy w porze właściwej. Panna Marvingt obmyśliła dla nich transport napowietrzny. Na aeroplanie będzie umieszczona lektyka, wykonana z drzewa i aluminium. Nasuwa się w tym razie uwaga o nisbezpieczeństwie przy lądowaniu, jeśli zważymy jednak, że według danych statystycznych lądowania bywają nieszczęśliwe w stosunku 8 procent, raniony zaś będzie mógł być operowany przed upływem 48-miu godzin, gdy teraz może on otrzymać pomoc dopiero po upływie kilku tygodni, a więc po niewczasie — to wybór sam się nasuwa.

Ambulans napowietrzny, który lotniczka francuska zamierza ofiarować armji, otrzyma nazwę „Kapitan Eheman“, który dnia 14 maja roku 1915 zginął podczas wlotu.

Bomby w Serajewie.

Sledztwo, prowadzone po zamordowaniu arcyksięcia Ferdynanda i jego żony, w Serajewie, wy-

kryło rozgąłęziony spisek, popierany przez agitację wielkoserbską. Większość znalezionych bomb i narzędzi morderczych nosi wyraźne piętno pochodze-



Bomby znalezione w Serajewie.

nia serbskiego, spisek zaś, jak wykazują zeznania morderców, sięga aż do wysokich kół wojskowych w Białogrodzie.

SZARADA.

Pierwsza druga barwa taka,
Że niepewna, ni jednaka,
Druga trzecia, gdy z rozumu płynie
 Pomaga w smutku godzinie;
Wszystko o dowcip się kusi
 Do namysłu chwilę zmusi.

Rozwiązanie zagadki z N-ru 27 „Ziarna”

P A C — C A P.

Od Administracji.

Prosimy o spieszne uregulowanie prenumeraty za drugie półrocze.

Odpowiedzi Redakcji.

WP. F. Piątk w Lub. Otrzymałszy rb. 3,90 i dziękujemy.
 WP. St. Damar. w Jaciąż. Trzeci tom książkowy będzie niebawem dołączony do „Ziarna”.
 WP. B. Wojc. w Berd. Z przyczyn od redakcji niezależnych wysyłka trzeciej książki i „Świątyni sławy narodowej”, której druk dotąd nie ukończony, się opóźni. Przepraszamy, choć nie za naszą winę.
 WP. M. Kasp. w Żytom. Pierwszej karty nie otrzymaliśmy. Obraz będzie niezwłocznie wysłany. Co do prenumeraty, postąpimy według życzenia.

TREŚĆ N-ru 29.

Szkoła polska. — Tadeusz Jaworski: Cztery pory. II. Południe. — Nałęczów (c. d.). — Henryk Rzewuski: Zamek krakowski, romans histor. z w. XVI (c. d.). — Zjawiska piorunowe. — Kronika polityczna. — «Moja jest zemsta», nowelka, (dok.). — Z bliska i daleka. — Ambulans powietrzny. — Bomby w Serajewie. — Zagadka i rozwiązanie. — Od Administracji. — Odpowiedzi Redakcji.

Ilustracje. Van der Fayes: Portret Eleonory van Beresteyn. — Zakład i hydropatja w Nałęczowie. — Źródło w Nałęczowie. — Przeznaczenie. — H. Koch: Nad jeziorem. — Noc letnia na wyspach indyjskich. — Żniwa. — Bomby w Serajewie.

PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO“ wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi: w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3,00, kwartalnie rb. 1,50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3,50; kwartalnie rb. 1,75, zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8½, kwart. k. 5 albo m. 4,25 albo 1 dolar.

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna“ w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Kierownik literacki dr. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.

Nr

2179

Czytelnia w Łomży